

— On przedewszystkiem... Ja już żyć nie mogę... musi mnie pan uratować przed nim... koniecznie... ja żyć już nie mogę...

Rozpętał wiążące ją sznury, ułożył ją starannie na sofie i rzekł:

— Pani ma słuszość... Zresztą tu nic pani nie grozi... Niech pani czeka tu na mnie... Wróć.

Gdy już miał odchodzić, chwyciła go żywo za rękę.

— Ale pan?... Gdyby ten człowiek...

Zdawało się, że lęka się o niego i że w ostatniej chwili radaby go zatrzymać.

— Dziękuję — szepnął Lupin — niech pani będzie spokojna. Czegoż się mam bać? Sam jest...

I poszedł w głąb szopy. Tak jak się tego spodziewał, znalazł tam drabinkę, opartą o ścianę, a doprowadzającą do małego okienka, przez które przyglądał się schodzącym się bandytom. Tą drogą Malreich wracał do domu swego przy ulicy Delaizement.

Przeszedł więc tamtędy, przeszedł do drugiej szopy i zeszedł do ogrodu. Znalazł się tym sposobem z tyłu za pawilonem, zajętym przez Malreicha.

Dziwna rzecz, ani przez chwilę nie wątpił, że Malreich tam się znajduje. Niewątpliwie musiał się z nim spotkać i straszny pojedynek, który toczyli między sobą, miał dobieść końca. Jeszcze kilka minut tylko...

Zdumiał. Nacisnął klamkę drzwi — drzwi się otworzyły. Pawilon nie był nawet zamknięty.

Przeszedł przez kuchnię, korytarz, wszedł na schody; szedł dalej swobodnie, nie starając się nawet przysłuchać własnych kroków.

Na podejściu schodów przystanął. Pot spływał mu z czoła i skronie, krwią nabiegłe, tętniały.

Nie tracił jednak spokoju, panował nad sobą i świadom był każdej swej myśli.

Złożył na stopniu obydwa rewolwery.

— Pójdę bez broni — rzekł sobie — niech to wystarczy... tak będzie lepiej.

Przed sobą miał troje drzwi do wyboru. Wybrał środkowe i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez przeszkody. Wszedł.

Nie było światła w pokoju, lecz przez otwarte okno wpływał szary mrok nocy, a w cieniu białeły prześcieradła i białe zasłony łóżka.

I czyjaś postać było tam widać.

Lupin w tym kierunku rzucił ostry błysk latarki.

To Malreich!

Żółtoblada twarz Malreicha, ponure jego oczy, trupia, zwiedla cera, wychudzona szyja...

I wszystko to takie nieruchome tuż o parę kroków... niepodobna rozpoznać, czy ta trupia twarz wyraża choć odrobinę strachu, czy choć trochę niepokoju.

Lupin postąpił naprzód o krok... potem o dwa kroki... wreszcie odważył się na trzeci...

Tamten nie poruszył się z miejsca.

Czy on widział? Czy rozumiał? Możliwe, że on widział, że on rozumiał, że on nie miał, iż hallucynacja jakaś go nawiedza, nie żywy człowiek.

Lupin przysunął się jeszcze.

— Będzie się bronił — pomyślał — musi się bronić... Lupin wyciągnął ręce.

Tamten ani drgnął, ani się cofnął, powiekami nawet nie ruszył.

Zetknęli się.

I w chwili owej Lupin wzburzony, przerażony, stracił zupełnie głowę. Przewrócił niemego człowieka, rzucił się na łóżko, zawinął w prześcieradło, w kołdrę i trzymał go, cisnąc kolanem, jak łup... pomimo, że tamten ani ruchem jednym nie stawiał oporu.

— Ach mam cię nareszcie — wołał pijany radością i nienawiścią — mam cię nareszcie, zgniotłem cię, zwyciężyłem, ty zwierzę nieczyste!

Nagle doleciał go hałas z dołu, z ulicy Delaizement; doleciał go odgłos dobijania się do furtki. Skoczył do okna.

— Ach to pan, panie Weber! — zawołał. —

Już! Jak to dobrze! Wylam pan furtkę i przybawaj tu!

Z najwyższym pośpiechem przetrząsnął ubranie swego więźnia, pochwylił portfel jego, papiery, które mógł znaleźć w szufladkach biurka i wszystko to wysypał na stół i przejrzał.

Krzyknął z radości; była tam paczka listów, tych sławnych listów, które obiecał cesarzowi!

Pokładł resztę papierów na swoje miejsce i pobiegł do okna.

— Wejź pan, panie Weber! Znajdziesz pan mordercę Kesselbacha na łóżku... gotów jest i związać... Do widzenia, panie Weber!

I szybko zbiegłszy po schodach, pobiegł do szopy, i podczas gdy Weber wchodził do pawilonu, on zbiegł odszukać Dolores Kesselbach.

Tak więc sam jeden poskromił i przyaresztował siedmiu towarzyszy Altenheima!

I wydał w ręce sprawiedliwości wodza tajemni-



Otulona kołdrą, z zakneblowanymi ustami leżała Dolores...

czej bandy, bezecnego potwora, Ludwika de Malreicha...

III.

Na obszernym drewnianym balkonie młody człowiek siedział przy stole i pisał.

Chwilami podnosił głowę i rozmarzonym wzrokiem spoglądał na falisty krajobraz wzgórz, wśród których jesienną porą огоłocone drzewa spuszczały ostatnie liście na czerwone dachy willi i na trawniki ogrodów.

Po chwili podniósł ze stołu białą kartkę papieru i zaczął głośno czytać:

„Płynie życia nurt przeźroczy
„Jak ta rzeka na dolinie —
„Rzeka fale w morze toczy,
„W śmierci bezkres życia spłynie...

— Wcale nieźle! Wcale nieźle! — odezwał się głos poza nim.

— Pan!... pan tu! — szepnął młody człowiek przerażony.

— Tak, tak, poeto — to ja, to Arsen Lupin. Przyszedłem odwiedzić drogiego przyjaciela mojego, Piotra Leduca!

Młodzieniec zaczął drżeć, jakby nim febra trzęsła.

— Czy nadeszła godzina?

— Tak, mój kochany... nadeszła godzina i pora ci już porzucić to rozkoszne życie poety, które widzisz u stóp Genowefy i pani Kesselbach... pora ci odegrać rolę, którą dla ciebie w mojej sztuce wyznaczyłem. Piękna to sztuka, mogę cię zapewnić, dramatycznie dobrze zbudowany, wedle wszelkich zasad sztuki, z tremolandem, śmiechem i zgrzytaniem zębów!... Dochodzimy do piątego aktu, zbliża się rozwiązanie, a ty, Piotrze Leduc, jesteś bohaterem! Co za zaszczyc!

Młodzieniec powstał.

— A jeżeli ja odmówię?

— Idyoto!

— Tak, a jeżeli odmówię? Ostatecznie ktoś mnie zmusi poddać się pańskiej woli? Kto mnie zmusi przyjąć rolę, której nie znam dotąd, ale która wstrętną mi jest z góry i której się wstydę!

— Idyoto! — powtórzył Lupin.

I przymusiwszy Piotra Leduca, by usiadł, usiadł sam przy nim, i słodkim głosem zaczął mu perswadować:

— Ty zdajesz się zapominać, luby młodzieńcze, że nie nazywasz się Piotr Leduc, ale Gerard Beaupré. Jeżeli zaś nosisz wspaniałe imię Piotra Leduca, to dlatego tylko, że ty, Gerard Beaupré, zamordowałeś Piotra Leduca i stan jego cywilny mu ukradłeś!

Młodzieniec aż podskoczył pełen oburzenia.

— Zwaryowałeś pan! Wiesz przecież dobrze, że sam wszystko ułożyłeś!

— Tak, prawda jest, ja to wiem, ale władze sądowe wiedzieć o tem nie będą; a co powiedzą władze sądowe, jeżeli ja im dowiodę, że prawdziwy Piotr Leduc umarł gwałtowną śmiercią, a ty podstawiałeś się w jego miejsce?

Młodzieniec przerażony wyjąkał:

— Ależ... temu nie uwierzą!... Dlaczegożbym miał to zrobić? W jakim celu ostatecznie?

— Głupi jesteś! cel tak jest widoczny, że sam Weber by go zrozumiał. Kłamiesz, jeżeli mówisz, że nie możesz przyjąć roli, której nie znasz. Tę rolę ty znasz. To ta rola, którą odegrałby sam Piotr Leduc, gdyby żył...

— Ależ kto to był. Kim ja mam być? Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć, do czego mam iść!

— A jeżeli będziesz wiedział, czy pójdziesz prosto tą drogą?

— Tak — o ile cel, o którym pan mówi, będzie tego wart.

— Czyżbym ja sobie, w przeciwnym razie zadawał tyle trudu?

— Kimżeż ja jestem? Jakikolwiek ma być moje przeznaczenie, bądź pan pewien, że potrafię odpowiedzieć mu godnie. Ale ja chcę wiedzieć. Kimże więc jestem?

Arsen Lupin zdjął kapelusz, skłonił się i rzekł:

— Hermanem IV, wielkim księciem Dwóch Mostów Veldenz, księciem Berneustel, elektorem Trowiru i panem ziem przyległych.

W trzy dni później Lupin wioził panią Kesselbach automobilem w stronę granicy. Wieczorem stanęli w małym zameczku, stojącym w pnącach i kwiatach, pod olbrzymim dachem lukowym, wpośrodku ogrodu i odwiecznych drzew.

Zastali tam już Genowefę.

— Oto siedziba pani — objaśnił Lupin. — Jest to zamek Bruggen. Tu pani bezpiecznie doczeka końca tych wydarzeń. Od jutra Piotr Leduc, którego uprzedziłem, będzie gościem pani.

Sam odjechał zaraz w kierunku Veldenz i oddał hrabiemu Waldemarowi pakiet sławnych, przez siebie odnalezionych listów.

(Dalszy ciąg nastąpi).